

ESTERA FLIEGER

Premier Donald Tusk nie jest wrogiem kultury i nauki, ale w jego świecie muszą znać swoje miejsce.

PROSTY MAGISTER HISTORII

Panowie, policzmy głosy”, „Przykra sprawa, nie lekceważ jej”, „Jestem prostym magistrem”. Donald Tusk ma niewątpliwy talent do bon motów, które wchodzą następnie do codziennej polszczyzny. Kiedy w internetowej wyszukiwarce wpisujemy wypowiedziane w 2010 r. słowa: „Jestem prostym magistrem”, podpowie nam ona, jak skonstruować życiorys. Donald Tusk, urodzony w 1957 r.; doświadczenie zawodowe: premier, były przewodniczący Rady Europejskiej; wykształcenie: absolwent historii na Uniwersytecie Gdańskim.

Zresztą o tym, że jest historykiem, Donald Tusk przypomniał całkiem niedawno, mówiąc po spotkaniu z udziałem środowisk prawniczych o skali rozliczeń po ośmiu latach rządów Zjednoczonej Prawicy. Przed wyborami parlamentarnymi popularne było jego zdjęcie z książką o upadku Cesarstwa Rzymskiego. Nic więc dziwnego, że historycy poszukiwali w nim partnera, jednak ich oczekiwania okazały się być zgoła odmienne. Premier nie jest wrogiem kultury i nauki, ale w jego świecie muszą znać swoje miejsce. To prosty magister historii, ale przede wszystkim polityk.

Teoria...

Historycy, którzy wyczekiwali zmiany władzy, dobre kilka miesięcy przed wyborami przygotowali trzy programowe teksty. 15 grudnia 2023 r. opublikowali Deklarację Łódzką (od Centrum Jerzego Giedroycia Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie narodziła się idea), pochylając się nad pytaniem o rolę humanistyki we współczesnej Polsce. Swoją podpis złożyło pod nią około 200 uczonych.

Autorzy Deklaracji, przechodząc do właściwej części tekstu, parafrazują fragment utworu „Chłopców z Placu Broni” (trudno się oprzeć wrażeniu, że przydają mu tym samym nut demonstracji KOD): pod śródtytułem „Wolność kocham i szanuję” domagają się wolnych badań oraz innego rozumienia patriotyzmu – ma to być formuła obywatelska, a nie etniczna. W kolejnych akapitach zaznaczają, że środowisko naukowe, muzealnictwo i edukacyjne musi współtworzyć „standardy, które będą obowiązywały w nowym podejściu państwa do badań nad polskim dziedzictwem historycznym i kulturowym”. Wyrażają nadzieję na zmianę programu nauczania historii (z ważkim i ciekawym pomysłem nauczania o przeszłości regionu ucznia) oraz równowagę w debacie o polskich dziejach, czyli uwzględnienie tak chwalebnych, jak i ciemnych rozdziałów.

Kultura i nauka – postulują – mają być wolne od biurokracji, a ewaluacja badań oparta na nowych zasadach. Nie chcą, aby o grantach dla humanistów decydowało Narodowe Centrum Nauki, mają więc pomysł na powołanie Narodowego Centrum Humanistyki (NCH), co wywołało zresztą środowiskową dyskusję i nie spokoilo się z entuzjastycznym przyjęciem. Krytycy zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo wyjęcia historii poza nawias innych nauk i obniżenie tym samym jej rangi, jak i towarzyszącą narodzinom deklaracji koncentrację na historii współczesnej. Dokument kończy się apelem o likwidację instytucji – choć niewymienionych, łatwo domyślić się, o które chodzi – oraz przesunięcie zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy do NCH.

Z kolei 29 stycznia 2024 r. oświadczenie wydał Komitet Nauk Historycznych Polskiej Akademii Nauk. Tym razem uwaga historyków koncentruje się na instytucjach, które zawłaszczyła (jak Instytut Pamięci Narodowej)

lub powołała do życia prawica (m.in. Instytut Pileckiego, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego): „Powstał równoległy system badań i edukacji historycznej”, a uznaniowy sposób jego finansowania budzi niepokój. Historycy PAN podkreślają, że „Zależność między badaniami historycznymi a polityką jest zawsze szkodliwa dla nauki. (...) Właściwym środowiskiem dla badań naukowych są instytucje posiadające autonomię naukową – uczelnie, instytuty PAN, towarzystwa naukowe, a nie takie, w których mianowani przez polityków kierownicy wydają polecenia historykom, narzucając tematy badawcze lub oczekując uzasadnienia z góry przyjętych tez. (...) Środkami na badania naukowe (...) nie należy mieszać ze środkami na inne zadania”.

3 marca prof. Barbara Engelking, prof. Andrzej Friszke, prof. Dariusz Libionka, prof. Paweł Machcewicz, dr Krzysztof Persak, prof. Dariusz Stola i prof. Rafał Wnuk opublikowali w „Gazecie Wyborczej” tekst pt. „IPN: ignorancja, propaganda, nuda. Naukowcy proponują radykalną reformę”. Chcą nie tyle likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej, ile głębokich zmian w jego strukturze. Powtarzają, że instytuty Pileckiego oraz Dmowskiego i Paderewskiego muszą zostać zlikwidowane, a jeśli chodzi o zagraniczne oddziały pierwszego z nich, te powinny zostać przekształcone w centra historyczne PAN (podobne do tego, które już działa w Berlinie). Sugerują powołanie nowego instytutu dziejów najnowszych w ramach PAN, gdzie zatrudnienie mieliby znaleźć „rzetelni historycy pracujący dotąd w IPN”, bo – jak dodają – „są tam nadal tacy”.

...i praktyka

Wszystkie trzy przywołane teksty mają refren: pisowskie instytucje zostaną zlikwidowane, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze pójdą na badania i edukację, a także do nowych placówek, o których rząd porozmawia z traktowanymi po partnersku historykami przy okrągłym stole. Nauka historyczna – z prymatem nad polityką historyczną – będzie odtąd wolna i dobrze finansowana, a system transparentny i pluralistyczny. Stworzona zostanie przestrzeń dla aktorów społecznych: samorządów, organizacji pozarządowych. „Mamy nadzieję, że nowe władze Rzeczypospolitej odegrają rolę mecenasa kultury w ścisłym tego słowa znaczeniu, któremu z gruntu obca jest pokusa dyktatu. Jesteśmy świadomi, że państwo polskie czeka ogrom wydatków na obronność, służbę zdrowia lub opiekę społeczną. Wiemy jednak, że inwestycje w humanistykę, nauki społeczne i nauki o kulturze – choć nie gwarantują dającej się wyrazić w procentach stopy zwrotu – są inwestycją równie strategiczną”, przekonują historycy podpisani pod Deklaracją Łódzką. Przy czym jesteśmy w stanie opisać to liczbami. Otóż każda złotówka wydana na naukę – dane zebrała rok temu Konferencja Rektorów Uczelni Ekonomicznych – przynosi od 8 do 13 zł wkładu do PKB.

Po polsku mówimy „O święta naiwności”, a po angielsku „Oh, my sweet summer child”. Zostawmy to, że historycy są niekonsekwentni (krytyka inflacji instytucji nijak ma się do postulatu powołania nowych, w których zadania z różnych porządków dalej będą się mieszać). Kultura i nauka to bowiem pierwsze obszary, w których szuka się cięć. Na dodatek wciąż nie są w pełni wolne.

Czy opublikowany w „Rzeczpospolitej” przez Krzysztofa Dudka 15 marca 2024 r. apel pt. „Warto podnieść

kulturę do najistotniejszych składników polskiej racji stanu” zostanie wreszcie wysłuchany? Gorzką odpowiedzią na to pytanie przynosi polityczna decyzja o odwołaniu ze stanowiska dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostry. Stało się to na dwa lata przed otwarciem wystawy stałej MHP, która jest w tej chwili montowana w budynku na warszawskiej Cytadeli. To zaawansowany projekt, którego stabilność została właśnie zagrożona. Skąd ta decyzja? Rozliczenia, nowe otwarcie czy wygaszenie inwestycji?

Przeciwko odwołaniu Kostry byli tacy historycy, jak wspomniani profesorowie Friszke i Stola. To nie tylko autorzy omówionych postulatów środowiska, ale przecież intelektualiści, którym bliska jest Platforma Obywatelska i Donald Tusk. Jak się okazuje, to za mało, by premier uznał ich zdanie.

Donald Tusk zaczął uprawiać politykę historyczną

Historycy reprezentujący środowiska liberalne i lewicowe (na pewno nie prawicowe) raczej dystansują się od pojęcia „polityki historycznej” i wolą mówić o „polityce pamięci” czy „historii publicznej” (która zresztą jest czymś zupełnie innym). Ale to, co proponują, w istocie nią jest. „To, co wiemy różnie pod inną nazwą równie by pachniało”. Ich oczekiwania były wysokie, jednak potrzeby są inne: Donald Tusk poszukuje centrum. W tym celu wszedł na bezpieczny teren, obiecując 100 mln zł dla Muzeum Powstania Warszawskiego: jego mit należy dziś do wszystkich, to pamięć, która przeszła drogę z radykalnej ulicy do domów wyborców umiarkowanych.

Uprawiania polityki historycznej domaga się od rządu nie środowisko historyczne, którego zdania – jak zaraz się okaże – premier nie bierze pod uwagę, a publicyści. Jeszcze trzy lata temu Daniel Passent w tygodniku „Polityka” utożsamiał ją z propagandą, podczas gdy w niedawnym sierpniowym numerze Rafał Kalukin punktował bierność liberalów w tym obszarze i wyjaśniał, dlaczego musi to się zmienić: nie ma już powrotu do „polityki ciepłej wody w kranie”. Dziennikarz odnotowuje liczne dyskusje historyków oraz ich słabnący entuzjazm – nie są dla Donalda Tuska partnerem. „Premier Tusk poprzestał bowiem na powołaniu doradców od polityki historycznej, których głównym zadaniem jest zapewne pisanie mu okolicznościowych przemówień, a formalnie polityką pamięci zajmuje się Ministerstwo Kultury, którego polityczna ranga po odejściu Sienkiewicza osłabła”, pisze Kalukin. Z jego tekstu wynika coś jeszcze – jeśli już, ma być tanio (oszczędności szuka się nawet w sztandarowym dla liberalnej agendy miejscu, a więc w oprawie artystycznej polskiej prezydencji w UE).

Jest coś jeszcze. Z prawej flanki premiera obchodzi Władysław Kosiniak-Kamysz, który jest żywo zainteresowany wprowadzeniem polityki historycznej, upatrując w tym szansę na poszerzenie elektoratu. Kiedy minionym latem ze zdwojoną siłą wrócił konflikt o wystawę stałą w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, inaczej niż w 2008 r. Donald Tusk nie stanął po stronie atakowanych przez prawicę historyków. Wraz z zaangażowaniem w sprawę Kosiniaka-Kamysza Tusk ustąpił i zamknął front: nowa dyrekcja muzeum musiała zgodzić się na niechciane poprawki w ekspozycji. Ciekawostką jest to, że jeśli już historycy zabierali głos w tej sprawie, to wyrażali oburzenie na Kosiniaka-Kamysza, podczas gdy spolegliwość Tuska pozostaje zmilczana.



Jak na polityka, który jeszcze niedawno odżegnywał się od polityki historycznej, premier Donald Tusk ostatnio bardzo często, gdy mówi o walce z PiS-em, sięga po analogie historyczne

Premier wyczuwa rosnące aspiracje Polaków, dlatego nie rezygnuje w sposób jednoznaczny ze starań o reparacje, choć środowisko historyczne, które woli miękki dialog z Niemcami, mogłoby podpowiadać coś zupełnie innego. W swoim wystąpieniu 15 sierpnia nie bał się już zaś narodowej dumy. Po raz pierwszy – mitygowany również przez Władysława Kosiniaka-Kamysza – musiał zająć stanowisko wobec Wołynia, który dzięki wysiłkom ministra Radosława Sikorskiego stawiane jest na agendzie polsko-ukraińskiej dużo ostrzej niż w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy.

Byłe nie PiS

Akademia nie stanowi monolitu i jest podzielona nie mniej niż inne środowiska, np. sędziowskie czy szerzej prawnicze. Ale nie bez powodu przyjmuje się, że to naturalny elektorat Donalda Tuska. Z jednej strony może więc dziwić, że premier nie prze-

cina sporu, który trwa wokół kształtu reformy PAN już od kilku miesięcy, nawet jeśli oczekuje się od niego poważnego traktowania problemów takich jak niezależność i finansowanie polskiej nauki. Z drugiej strony nic w tym zaskakującego, że pozwala wykrwawić się ministrom Dariuszowi Wiczorkowi i Maciejowi Gduli, których propozycje są niepopularne i szeroko krytykowane. Rubla zarobi i cnotę zachowa. Osłabi Lewicę, a środowisko – choć rozgoryczone – przecież i tak na niego zagłosuje. PAN tonie w ciszy, nauka zajmuje marginalne, jeśli w ogóle, miejsce w debacie publicznej, więc zagrożenie w postaci atrakcyjnej kontroferty nie występuje.

Poza tym przez ostatnie osiem lat historycy (niektórzy z nich bezdyskusyjnie doświadczeni przez ministra Piotra Glińskiego) łatwo dali się przekonać, że mają do czynienia z totalnym złem. Stałym punktem odniesienia jest walka o praworządność i demokrację. Do tej ostatniej wartości sprowadza się dziś każde publiczne wystąpienie: polska historia jest zdeterminowana, a więc nieco tylko przerysowując, o jej stan w 2024 roku walczyli już wszyscy – chłopci w szlacheckiej Polsce, jak i polscy żołnierze na światowych frontach. Dlaczego więc

Donald Tusk ma się liczyć ze zdaniem historyka, który publikuje w mediach społecznościowych grafikę z ośmioma gwiazdkami, jeśli może go po prostu postraszyc PiS-em? Dlatego właśnie historycy nie protestują dziś wobec tego, że premier ustąpił w sprawie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Podczas gdy za rządów Zjednoczonej Prawicy zmiany w wystawie oznaczały koniec wolnej nauki i kultury, dziś są – jak wytłumaczył mi jeden z badaczy – wyrazem tego, że premier „kieruje się racjami politycznego układu sił”. Byłe Kaczor dyktator nie wrócił do władzy. Historycy, którzy są jednocześnie przeciwni polityce historycznej i politycznie zaangażowani, sami na siebie ukręcili w ten sposób bicz.

Kluczowe pozostaje pytanie: czy historycy postulują pluralizm aby na pewno są na niego otwarci? Dominuje głos pokolenia, które nie schodzi z barykad „wojny na górze” i nie chce zrobić miejsca młodszym, mocno tym zmęczonym i potrzebującym zmiany, często z innym pomysłem na polską naukę i chłodnym stosunkiem do polityki, zajęтым zamiast tego badaniami i podejmującym wysiłek przetrwania na nisko opłacanych stanowiskach. /©